



Tragiczna śmierć doktora Geleya i jego pośmiertne manifestacje

11 listopada 1918 roku I wojna światowa dobiegła końca, zebrawszy straszliwie żniwo milionów poległych i rannych. Pragnienie duchowości po wyniszczającym konflikcie i poszukiwanie pocieszenia po stracie bliskich, ponownie rozbudziły u Europejczyków zainteresowanie seansami spirytystycznymi. W tym samym roku dzięki mecenatowi bogatego handlowca Jeana Meyera w Paryżu powstał Międzynarodowy Instytut Metapsychiczny, którego celem było naukowe zbadanie zjawisk mediumicznych. Pierwszym dyrektorem tej instytucji został dr Gustave Geley - urodzony w 1868 w Montceau-les-Mines, absolwent Uniwersytetu w Lyon, który zrezygnował z praktyki medycznej, aby poświęcić się całkowicie mediumizmowi. Studiował nad tymi zjawiskami oddawał się z pasją przez blisko trzydzieści lat. Wierzył, że pewnego dnia metapsychika (parapsychologia) zostanie uznana za pełnoprawną naukę i uważał za swoją misję wytrwałe dążenie do tego celu.

Było coś niezwykle w wyglądzie dr. Geleya. Współcześni zwracali uwagę na jego oczy - duże, ponure, błyszczące. Wzrok miał nieco posępny i zachmurzony, jakby osnuty mgłą tajemnicy, zarazem jednak fascynujący i przenikliwy. Czasami na jego poważnej twarzy ukazywał się uśmiech. Dziennikarz Paweł Heuze, który kilka lat po utworzeniu Instytutu spotkał się z Geleyem, aby porozmawiać o jego badaniach, zapamiętał właśnie to niezwykle spojrzenie, a także czysty głos doktora i jego zdecydowany sposób wyrażania swoich myśli.

Geleya najbardziej interesowały zjawiska mediumizmu fizycznego, a konkretnie ektoplazma - tajemnicza substancja wydobywająca się niekiedy z ciała medium.

Był to jeszcze czas, kiedy ektoplazma budziła kontrowersje i podziały wśród intelektualistów zajmujących się spirytyzmem. Mając na uwadze liczne oszustwa, a także kapryśność i rzadkość tego fenomenu, wielu w ogóle zaprzeczało jego istnieniu. Z drugiej strony niektórzy naukowcy wierzyli, że zbadanie ektoplazmy pomoże zrozumieć formowanie się zjaw na seansach spirytystycznych, a nawet doprowadzi do przezwyciężenia w fizjologii, ponieważ pozwoliłoby uchwycić twórczy, duchowy czynnik wywierający wpływ na organizm ludzki. Dzięki badaniom nad tak znanymi mediami jak Eva Carriere czy Franek Kluski, doktor Geley był świadkiem spektakularnych materializacji otrzymywanych w warunkach ścisłej kontroli. W rozmowie z Heuze francuski badacz z pasją opowiadał o swoich obserwacjach: „Wielokrotnie widziałem postać całkowitą danego organu, na przykład - palca, ręki, twarzy. W wypadkach najdoskonalszych, organ zmaterializowany miał wszystkie własności biologiczne organu żyjącego. Widziałem doskonale sformowane palce z paznokciami. Widziałem ręce z kośćmi i żyłami, głowę, której kości dotykałem pod rozkładem owłosienia, twarze ludzkie całkowicie sformowane. W większości wypadków te zjawy formowały się pod moim okiem, od początku do końca”. Studia nad fenomenologią mediumiczną i pragnienie jej teoretycznego ujęcia doprowadziły do sformowania przez Geleya oryginalnych poglądów, określanych mianem dynamo-psychizmu. Zjawiska mediumizmu fizycznego przekonały go, że człowiek nie jest zwykłym kompleksem komórkowym, albowiem istnieje dynamizm wyższego rzędu, który wywiera decydujący wpływ na życie biologiczne. Inaczej mówiąc: istota żyjąca jest dynamo-psychizmem, natomiast kompleks komórkowy to ideoplastyczny produkt tego dynamo-psychizmu. Świadomości nie można sprowadzać wyłącznie do funkcji mózgu, jak chcieliby materialiści, wszystko bowiem wskazuje, że ciało nie jest źródłem ducha, ale jego przejawem, uformowanym wskutek jego działania. Geley sądził, że działają w nas podświadome władze psychiczne, że stanowią odrębny i nieskończony świat duchowy. Żył też optymistyczną wiarę w ciągłe doskonalenie się tego podświadomego pierwiastka w człowieku.

U schyłku 1918 roku, gdy na mapę

Europy powróciła odrodzona Rzeczpospolita, polska kultura i nauka po raz pierwszy od wielu lat mogły rozwijać się w sposób wolny i nieskrępowany. Ta swoboda znalazła wymiar także w rozwoju badań mediumicznych. Wzorem krajów zachodnich w Polsce powstawały organizacje zajmujące się badaniami „psychicznymi”, jak nazywano wówczas dociekania parapsychologiczne; ukazywały się także książki i czasopisma poruszające zagadnienia spirytystyczne. Rozkwitowi pracy doświadczalnej sprzyjało zarówno pojawienie się rodzimych uzdolnionych mediów, jak też większej liczby badaczy interesujących się tą dziedziną. Polscy metapsychicy dążyli do kontynuowania eksperymentów zapoczątkowanych przez zmarłego w 1917 roku Juliana Ochowicza, a ich starania spotkały się z życzliwym zainteresowaniem zagranicy. Rozgłos, jakim na początku lat dwudziestych cieszyły się polskie media, zachęcił także doktora Geleya, aby wejść w bliższy kontakt z Polakami. Z tego powodu uczony kilkakrotnie odbywał podróże do Warszawy. Wziął też udział w posiedzeniach Międzynarodowego Kongresu Badań Psychicznych, który odbył się w 1923 roku w stolicy Polski. W czasie swoich wizyt Geley uczestniczył w posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Badań Psychicznych i Towarzystwa Psycho-Fizycznego i został nawet członkiem honorowym tego pierwszego. Wiele uwagi poświęcał studiom nad zdolnościami medium materializacyjnego Franka Kluskiego oraz jasnowidza Stefana Ossowieckiego. Z Polakami łączyły go nie tylko badania, ale i przyjaźnie. Ossowiecki wspominał, że to jemu zawdzięczał wielką popularność za granicą, a także kontakt z uczonymi światowej sławy, wśród których był m.in. Charles Richet - wybitny fizjolog i noblista. O samym Geleyu pisał, że „był to człowiek wielkich zalet serca i ducha, znakomity doktor medycyny, mąż głębokiej wiedzy”.

To właśnie w Polsce w sposób tragiczny zakończyło się życie tego niestrudzonego badacza. Stefan Ossowiecki w autobiograficznej książce *Świat mego ducha i wizje przyszłości* wspominał ostatnią wizytę Geleya w Warszawie. Francuz prowadził tam m.in. badania nad zdolnościami percepcji pozazmysłowej polskiego jasnowidza.

W dalszej kolejności planował udać się na konferencję metapsychiczną do Londynu. W wieczór poprzedzający wyjazd spotkał się jeszcze z Ossowieckim. Jeśli wierzyć relacji tego ostatniego, jasnowidz miał niejasne przecucie, że badacza może spotkać coś złego, jednak Geley nie zamierzał odkładać podróży ze względu na konferencję. Ossowieckiemu pozostało więc tylko udać się z nim na lotnisko.



Był 14 lipca 1924 roku. Na lotnisko Geley zabrał ze sobą walizkę, która zawierała odlewy gipsowe zdjęte z materializacji, jakie miały miejsce podczas seansu z Frankiem Kluskim. Ossowiecki jeszcze raz spróbował przekonać doktora do odłożenia lotu, ale bez rezultatu. Tymczasem na lotnisku wylądował samolot z Pragi z pilotem Mroczkowskim, który zgodził się zawieźć doktora do Pragi, jednak wkrótce okazało się, że samolot z jakiegoś powodu nie nadaje się do dalszej podróży. Podczas rozmowy z Mroczkowskim nadleciał drugi samolot. Był to sześciuosobowy dwupłotowiec pasażerski typu Berline Epad, kursujący na linii Warszawa – Praga Czeska – Strasburg – Paryż. Pilotem był Francuz nazwiskiem Clement, który zabrał Geleya na pokład. To, co wydarzyło się później, zanotował Ossowiecki: „[Clement] kazał więc mechanikowi zaraz oczyścić maszynę, sam zaś po wypiciu szklanki kawy i krótkim wypoczynku stanął gotów do drogi. Byłem tak wzburzony złymi przecuciami i przeszkodami, które piętrzyły się przed tą podróżą, a także uporem prof. Geleya, że zostawiając p. S., nie doczekawszy się chwili odlotu, wróciłem do domu. Koło godziny drugiej w południe podczas obiadu w Hotelu Europejskim dostałem smutną wiadomość o katastrofie. W tej chwili pojechaliśmy na lotnisko na miejsce wypadku, gdzie leżał strzaskany aparat i dwa trupy: prof. Geleya, któremu śmigło odcięło wierzch czaszki i pilota Clementa. Ciała zostały odwiezione do prosektorium, a na-

stępnie do katedry Św. Jana. Zawiadomiłem panią Geley o nieszczęściu. Przyjechała po zwłoki męża do Warszawy”. A tak wydarzenie to relacjonowała prasa: „Gdy aeroplan znalazł się nad polami we wsi Okęciu, służba folwarczna zauważyła, że [...] nagle obniżył się, zawrócił tak nisko, że omal nie zawadził o drzewa, po czym z wysokości około 50 metrów spadł z szaloną szybkością na kartoflisko. Z całego olbrzymiego aeroplanu pozostały tylko szczątki. Ocalał jedynie częściowo koniec kadłuba. Pod szczątkami rozbitego aparatu znaleziono strasznie zeszepeczone zwłoki pilota, obok zaś pod zdruzgotaną kajutą aeroplanu leżały zwłoki drugiej ofiary dr. Geleya”. Straszliwa śmierć Geleya przyniosła niepowetowaną stratę nie tylko francuskiej metapsychice, ale też polskim entuzjastom mediumizmu, którym prace badawcze doktora ułatwiały nawiązywanie kontaktów międzynarodowych.

Jak można się było spodziewać, historia naukowca, który przez lata szukał empirycznego potwierdzenia istnienia nieśmiertelnego ducha nie mogła skończyć się na jego biologicznej śmierci; i rzeczywiście, w jakiś czas po katastrofie samolotu dr Ksawery Watraszewski, wydawca i redaktor kwartalnika „Zagadnienia Metapsychiczne”, otrzymał list od medium Marii Wodzińskiej. Wodzińska informowała w nim, że przed swoją śmiercią Geley odwiedził ją, aby pożegnać się i poinformować, że wróci do Polski zimą w celu dokonania nowych badań. Nazajutrz po tym spotkaniu Wodzińska spotkała p. „Alf. A.” – inne medium – który podobnie jak Ossowiecki był wiedziony przykrym przecuciem i powiedział jej: „Pani, niezmiernie oczekuje panią zmartwień... Jeden z przyjaciół jej, człowiek starszy, zagrożony jest wielką katastrofą! To straszliwe!... Widzę śmierć tego pana... Tak jest! – owa katastrofa już ma miejsce!”. Jeśli wierzyć autorce listu, która o śmierci Geley’a dowiedziała się dopiero następnego dnia, wizja medium o kilka godzin poprzedziła katastrofę. Co więcej, w kilka dni po śmierci doktora, Wodzińska doświadczyła niezwyklego widzenia we śnie. Śniła, że w wielkiej jasności pochyliła się ku niej radosna twarz dr. Geleya. „Mówił do mnie dosyć długo – niestety, jak każdy osobnik niewyćwiczony w zachowaniu pełnej świadomości na planach wyższych tak i ja nie byłem w stanie zapamiętać wszystkiego, co słyszałam. Wiem tylko, że mówił mi dr Geley: *Proszę powiedzieć wszystkim, że jestem obecnie zupełnie szczęśliwy.*

Wydarzenia opisane przez Marię Wodzińską nie miały być ostatnimi próbami porozumienia się doktora z polskimi przyjaciółmi. Być może udało się nawet otrzymać jego materializację na jednym z późniejszych seansów: „Dopiero w kilka dni po wyjeździe pani Geley [wdowa po doktorze

przyjechała do Polski po śmierci męża – przyp. MS], podczas seansu z Guzikiem ukazał się dr Geley. Obecni przy seansie byli pp. Ż, inżynier S i ja. Zjawia silnie zmaterializowana i prześwietlona, serdecznie wszystkich nas ścisnęła – mówiąc dość niewyraźnie po francusku. Oszołomieni pytamy naszego esprit familier, Zygmunta, kto



to może być? Na to odbieramy, jak zwykle, odpowiedź powitalną Zygmunta: Jak to, nie poznajecie go – toż to Gutek. Dr Geley miał na imię Gustaw. Po drugim posiedzeniu wszyscy obecni dotykani są głową, również bardzo wyraźnie zmaterializowaną – lecz z jednej strony jakby b. gorącą cieczą ciekącą i pulsującą żywym tętnem. Jesteśmy wszyscy przejęci przerażeniem. Domyślamy się, że to zjawia dr. Geleya, który chcąc się wyraźnie zmanifestować, ukazywał nam swą rozplataną głowę. Wrażenie było tak silne, że p. Ż. wyszedłszy do drugiego pokoju oświetlonego, szukał na ubraniu śladów krwi, których nb. nie było”.

Jeszcze tylko raz doktor Geley miał ukazać się Polakom, a stało się to po kilku dniach od przytoczonego wyżej seansu. Znow ukazała się twarz ducha, i tym razem była tak wyraźna, że „hr. K, która za życia nie знаła dr. Geleya, jak najdokładniej twarz że zobaczyła i opisała nam jej rysy. Kilka zdań po francusku zamieniłam wtedy z dr. G. Odpowiedzi były zupełnie wyraźne. Kiedy z zalem powiedziałam, że nie ma na stole papieru i ołówka, by mógł słów parę napisać dla wysłania takiego dokumentu do Paryża, otrzymałam odpowiedź: *Nie, nic nie mogę zrobić* – po czym zjawia szybko obudziła medium i znikła”. Na tym kończy się niezwykle historia kontaktów polskich mediumistów z francuskim badaczem. Funkcję Geleya w Międzynarodowym Instytucie Metapsychicznym przejął dr Eugene Osty, znamienny badacz percepcji pozazmysłowej, który zasłynął również z tego, że jako pierwszy zastosował fotografię na podcierwień w czasie seansów odbywających się w całkowitych ciemnościach. Wraz ze śmiercią Geleya zamknął się kolejny rozdział w historii badań mediumicznych.

Porcelanowy dzwoneczek

Każdy z nas przynajmniej raz w życiu wysłuchał historię opowiadającą o znakach, jakie zmarli dają swym bliskim, by pokazać, że nadal przebywają wśród nich. Camille Flammarion, znany francuski astronom, zebrał kilka tysięcy relacji osób z terenu całego kraju, które twierdziły, iż były świadkami manifestacji Duchów. Niektóre listy zostały opublikowane i skomentowane w książce pt.: *Śmierć i jej tajemnica* z 1922 roku. Przedstawiamy jedną z relacji.

<<Byłem przyjacielem Benjamina Sirchia, a nawet jego lekarzem. Sirchia, bardzo znany w Palermo, był starym patriotą, bardzo popularnym. Miał dużo zalet moralnych oraz towarzyskich; podobnie jak ja był bardzo nieufny, ale w szerokim rozumieniu tego słowa.

Pewnego majowego dnia 1910 roku zdarzyło nam się odbyć dyskusję na temat zjawisk psychicznych. Odpowiedziałem na wiele jego pytań i zapewniłem, że mam doświadczenie w tych sprawach, a niektóre z przedstawianych przeze mnie zdarzeń widziałem osobiście, lecz ich interpretacje pozostawiały wiele do życzenia. W trakcie rozmowy stwierdził nieoczekiwanie żartobliwym tonem: „Proszę posłuchać, jeśli umrę przed panem, co jest wielce prawdopodobne, gdyż jestem stary, a pan wciąż młody, silny i pełen energii, daję panu słowo, że powrócę do pana niosąc wiadomość o kontynuacji mojego życia w zaświatach, jeśli oczywiście ciągle będę istniał”. Śmiejąc się, w podobnie żartobliwym tonie odparłem: „Więc gdy pan powróci, proszę zmanifestować się, rozbiłając jakąś rzecz z tego pokoju, na przykład żyrandol nad stołem...” (W tamtej chwili siedzieliśmy przy stole w sali obiadowej.) Aby być miłym dodałem: „Ja również zapewniam pana, że jeśli umrę przed panem, przyjdę i dam sygnał w pańskim domu w podobny sposób!”

Powtarzam, że wszystko to zostało wypowiedziane bardziej w formie żartu, aniżeli poważnej dyskusji. Rozstaliśmy się, a mój przyjaciel odjechał po kilku dniach do Licaty na Sycylii, gdzie postanowił zamieszkać. Od tamtego dnia nie uzyskałem o nim żadnych informacji ani bezpośrednio od niego, ani od naszych wspólnych znajomych. Nasza ostatnia rozmowa miała miejsce w maju 1910.

Pewnego grudniowego dnia następnego roku (pierwszego albo drugiego) około osiemnastej siedziałem przy stole z moją siostrą, jedyną osobą, z którą wówczas przebywałem, gdy naszą uwagę przyciągnęło kilka delikatnych stuknięć o abażur wiszący nad stołem oraz o porce-

lanowy dzwoneczek zawieszony nad kryształową rurą lampy. Na początku przypisaliliśmy te dźwięki miotanym płomykom i rozgrzaniu lampy przez płomień, który próbowałem troszkę przygasić. Ale uderzenia nasilały się i trwały, nieprzerwanie wystukując jakiś rytm. Wspiąłem się na krzesło, by z bliska zbadać nietypowe zachowanie płomyka i skonstatowałem, iż owe dźwięki nie mogą być efektem nagrzania się lampy, która działała jak należy. Zresztą, nie chodziło tutaj o strzelające iskierki, jak te, które mogą tworzyć się przy wysokich temperaturach, ale o czysty dźwięk uderzeń, podobny do stukania palcami albo też sam stukot małą pałeczką o porcelanę. Próbowałem odnaleźć przyczynę tej dziwnej anomalii. Nic. Kolacja zakończyła się, a fenomen ucichł.

Następnego wieczoru powtórzyło się stukotanie i zawsze według podobnego scenariusza przez pięć lub sześć kolejnych dni, co pobudzało nasze zainteresowanie.

Ostatniego wieczoru jedno mocne uderzenie rozbiło dzwoneczek, którego część pozostała zawieszona przy lampie, co zaobserwowałem, gdy ostatni raz wspiąłem się na krzesło, aby ocenić sytuację. Wraz z siostrą zapamiętaliśmy dokładnie, że gdy gasiliśmy lampę centralną i zapalaliśmy lampki na bocznych ramionach żyrandola, stuknięcia nie ustępowały, a ich intensywność pozostawała na takim samym poziomie, jak wcześniej.

Muszę również oświadczyć i wyjaśnić, przysięgając na moje dobre imię, że podczas owych pięciu czy sześciu dni obserwacji dziwnego fenomenu, którego nie udawało mi się wyjaśnić, ani razu nie pomyślałem o moim przyjacielu Benjamine Sirchia, a tym bardziej o naszej rozmowie z maja ubiegłego roku, o której zresztą zupełnie zapomniałem.

Nazajutrz około ósmej rano przebywałem w moim gabinecie; moja siostra siedziała na balkonie i oglądała coś na ulicy; pokojówka miała wyjściowe; nieoczekiwanie z salonu dotarł do naszych uszu niesamowity odgłos, jakby silnego uderzenia maczugą w stół. Moja siostra usłyszała go z balkonu, a ja z gabinetu: czym prędzej pobiegliśmy, by sprawdzić co się stało.

Dziwne, ale jakkolwiek fantastycznie zabrzmiała prawda, zapewniam o jej autentyczności: zobaczyliśmy spoczywającą na stole, jakby położony przez ludzką rękę, kawałek dzwoneczka, a jego druga część nadal wisiała przy żyrandolu. Oczywiście usłyszany wcześniej huk był nieproporcjonalny do efektu uderzenia. I to był ostatni z wielu efektów, które miały miejsce



i bez zapalania płomyka.

Upadek tej połówki dzwoneczka z porcelany nie mógł odbyć się pionowo w dół, lecz musiał nastąpić po ukosie, ponieważ w przeciwnym przypadku napotkałby na swojej drodze szklaną tubę lampy, która także uległaby zniszczeniu. [...] Dwa dni później, podczas spotkania z profesorem Rusci usłyszałem: „Czy pan wie, że biedny Benjamin Sirchia zmarł?” - „Kiedy?” - zapytałem. Mój gość odparł: „W ostatnich dniach listopada, 27 albo 28.” Zastanawiałem się nad tym [...] Czy fenomeny w moim domu były związane z jego śmiercią? [...] Zjawisko przy lampie zaczęło się 1 lub 2 grudnia i trwało pięć dni... >>



Polskie Towarzystwo Studiów Spirytystycznych jest stowarzyszeniem zrzeszającym miłośników filozofii duchów zebranej w książkach Allana Kardeca. Organizacja powstała w maju 2009 roku w Warszawie. Jej celem jest rozpowszechnianie wiedzy spirytystycznej, organizowanie wykładów, konferencji i kongresów, a także promocja spirytyzmu poprzez wspieranie publikacji spirytystycznych i działań charytatywnych. PTSS zrzesza kilkudziesięciu stałych członków i kilkuset miłośników spirytyzmu w całym kraju oraz współpracuje z Międzynarodową Radą Spirytystyczną.



Odejście żołnierza



Wszyscy bez względu na wiek stracili kogoś bliskiego. Czasami wspominamy ostatnie chwile spędzone wspólnie z osobami, które w przededniu ostatniej podróży trzymaliśmy za dłoń, okazując ciepło i współczucie. W dyskusjach ze znajomymi zastanawiamy się czy ktoś miał dobrą, czy złą śmierć, szczególnie gdy u podstawy dezinkarnacji znajdowała się z jednej strony choroba, a z drugiej np. tragiczny wypadek. Zazwyczaj uważa się, że lepszym sposobem na opuszczenie tego świata jest błyskawiczna utrata świadomości wraz z natychmiastowym wyłączeniem procesów życiowych ciała i szybkie przeniesienie duszy w zaświaty, w ciemny tunel ze światłem na jego odległym końcu, gdzie wszelkie ziemskie troski przestają się liczyć i rozkwita błoga kontemplacja oblicza Stwórcy, Jezusa i wszystkich świętych; muzłamanie oczekują dziewic. Pewna znajoma opowiadała mi o swoim mężu, dawnym wojskowym, który całe życie poświęcił służbie krajowi. Był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną, bardzo poukładanym i zdyscyplinowanym. Nie lubił prosić o pomoc, gdyż uważał, że jako oficer powinien dawać przykład siły. Równocześnie potrafił okazywać bliskim ciepło. Brał udział w wielu misjach, mieszkał w bazach wojskowych na całym świecie. Gdy przyszła starość, zachorował. Rok przed śmiercią lekarze wykryli u niego tętniak mózgu. Nie dawano pacjentowi więcej, niż dziesięć miesięcy życia, ale jego zahartowany koszarowymi warunkami organizm walczył dłużej. Objawy choroby ujawniały się stopniowo i postępowały: bóle głowy, zachwiania równowagi, chodu, zanik kontroli zwieraczy. W pewnym momencie ten niezawodny i niegdyś szanowany przez podkomendnych wojskowy nie był w stanie samodzielnie posłużyć się widelcem; dziesięcioletnia wnuczka pomagała mu w posiłkach. Podobnie sytuacja wyglądała podczas wieczornej i porannej toalety. Czasami w ciągu dnia należało pomóc starszemu panu uwolnić się od fetoru

fekaliów, które wylewały się z niego, jak z otwartej butelki. Krótki spacer, podłanie ogródka, otwarcie okna lub przemieszczenie się do stołu nagle okazały się niezmiernie ciężkim i niebezpiecznym wyzwaniem, a z czasem było coraz trudniej. Pewnego poranka po ciężkiej nocy mężczyzna obudził się, ale już nie wstał. Niedoskonałość ciała okazała się silniejsza od woli ducha. Po kilku napadach padaczki został odtransportowany do szpitala, gdzie przywiązano go do łóżka. Żona zaprotestowała i niedługo później chory powrócił do domu. Zbliżał się koniec. Wszyscy członkowie bliższej i dalszej rodziny dbali o komfort oficera: okazywali mu czułość, delikatnie przemywali skórę i konwersowali, aczkolwiek bez reakcji jednej ze stron. Aż wreszcie nadszedł dzień ulgi nasączony gorzkimi łzami. Wszyscy żalowali, iż tak przykry finał spotkał tego wspaniałego człowieka, szczególnie że umierający do samego końca miał być świadomy swojego stanu, swych ułomności. Starzec być może spoglądał sam na siebie z obrzydzeniem, a może i złością, z wyrzutami sumienia, że tak bardzo musi angażować innych. Wdowa pogodziła się z rzeczywistością, lecz obraz gasnącego męża pozostały w jej pamięci nadal boli. Zdecydowanie wolałaby, aby umarł szybko, gwałtownie, w pełni zdrowia. Choć nie można odmówić kobiecie dobrych intencji dyktowanych szczerem i głębokim uczuciem do męża, nasuwa się refleksja czy w przypadku tej konkretnej sytuacji natychmiastowa śmierć ciała znajdującego się jeszcze w dobrej kondycji, byłaby lepszym rozwiązaniem.

W chwili zgonu Duch jest połączony z ciałem biologicznym magnetycznymi więzami, które muszą zostać zniwelowane. Proces ten może trwać nawet kilka godzin, choć z literatury spirytystycznej wynika, że w niektórych przypadkach uwolnienie Ducha z materialnych więzów następuje znacznie szybciej. Nie należy sądzić, że dusza przeciętnego człowieka, znajdująca się na

niezbyt wysokim szczeblu rozwoju duchowego, z wieloma wadami, ziemskimi przyzwyczajeniami i strachem przed nieznanym, przebrnie przez pierwszą fazę odcieleśnienia w sposób zupełnie spokojny. Gdy człowiek ginie śmiercią tragiczną, jego Duch przechodzi szok, gdyż nagle i niespodziewanie zostaje wyrwany z rzeczywistości materialnej. Można to porównać do sytuacji, gdy ktoś w jednej chwili zostaje przeniesiony z tropików na biegun północny, bez akomodacji. Taka istota potrzebuje czasu, by odzyskać orientację i z całą pewnością nie należy to do miłych momentów. Inaczej sprawy się mają, gdy człowiek umiera w chorobie. Powolne odejście powoduje stopniowe poluzowanie się więzów duchowych jeszcze z życia, więc gdy nastąpi agonia, Duch jest już prawie całkowicie wolny. Cierpienie za życia paradoksalnie przyczynia się do łagodnego przejścia w wieczność, gdzie istota bezcielesna prawie natychmiast odzyskuje wolność. Oczywiście należy wziąć także pod uwagę obciążenia karmiczne, również mające wpływ na sposób przeżywania śmierci. Nie będę jednak rozwijał tego wątku, lecz wróć do sytuacji, w jakiej znalazł się nasz oficer. Mężczyzna silny, wysportowany, poukładany i samodzielny, nie tracąc świadomości prawie z dnia na dzień stał się całkowicie przeciwnieństwem osoby, którą był przez całe dorosłe życie. Cierpiał widząc, iż nie jest w stanie posługiwać się własnym ciałem, może odczuwał do niego wstręt i obrzydzenie, a prawdopodobnie złość. Tętniak nie jest wypadkiem losowym. Na tego rodzaju choroby składa się nie tylko wiele czynników powszechnie znanych lekarzom, ale również „oprogramowanie” zapisane w ciele duchowym. Innymi słowy, Duch jeszcze przed inkarnacją może spodziewać się, na jaką chorobę umrze, w zależności od trybu prowadzonego życia. Analizując konkretny przypadek sądzę, iż żołnierz nie miał szczególnego wyboru - on po prostu zgodził się na taki los, gdy podjął decyzję o narodzeniu się w północnej Francji. Według mnie kontrast pomiędzy osobowością, a jego cierpieniami w sposób oczywisty wskazuje na formę próby, którą człowiek ten zdecydował się przejść. Jego wieloletnia formacja wojskowa, przyzwyczajenia, ukształtowane poglądy stoją w sprzeczności z sytuacją, jaką mógłby sobie wymarzyć w innych okolicznościach. Ból, który na siebie przyjął w ostatnim roku życia stanowił dla niego pewnego rodzaju uwieńczenie ziemskiej egzystencji. Dzięki temu Duch oczyścił się, opuścił świat materialny jeszcze bardziej odmieniony i szczęśliwy, a z perspektywy wieczności ma to zdecydowanie więcej znaczenia, niż szybka, wygodna i mało wartościowa śmierć.

Piotr Struczyk L.F.

Czy świat istnieje w umyśle?

W XVIII wieku żył pewien anglikański biskup irlandzkiego pochodzenia, nazwiskiem George Berkeley (1685-1753). Ten erudyta, który za cel postawił sobie zwalczanie ateizmu, studiował dzieła Kartezjusza, Hobbesa, Boyle'a, Locke'a, Malebranche'a oraz Newtona i starając się dociec natury rzeczywistości, powołał do życia filozofię nazywaną immaterializmem. Jego poglądy wzburzyły współczesnych mu ludzi i nie sposób było przejść obok nich obojętnie. Niepokój budziło przeświadczenie Berkeley'a, że nie istnieje materia, a przedmioty „materialne” to tak naprawdę idee obecne w umyśle. Przy pierwszym zetknięciu z tą myślą zastanawiamy się czy można uwierzyć w coś tak na pozór absurdalnego i klójącego się ze zdrowym rozsądkiem? W końcu jesteśmy przekonani, że świat, który nas otacza, jest materialny... ale co to właściwie znaczy? Materię definiujemy jako substancję rozciąglą, stałą, ruchomą, niezdolną do myślenia. W przeciwieństwie do niej umysł jest nierozciąglą przestrzennie, aktywny, potrafiący myśleć itd. Zwykle za oczywiste uważamy, że istnienie rzeczy materialnych ma charakter absolutny, niezależny od jakiegokolwiek umysłu. Zdaniem biskupa Berkeley'a jest to jednak przesąd, błąd, w który popadamy przyjmując za oczywiste coś, co wcale oczywiste nie jest...

Zobaczmy, jak Berkeley uzasadniał swoje twierdzenia.

Wyobraźmy sobie, że bierzemy do ręki jakiś owoc, na przykład wiśnię. Widzimy ją, czujemy, smakujemy. Jest to rzecz jak najbardziej rzeczywista. Ale czy zastanawialiśmy się kiedykolwiek, na czym polega istnienie wiśni? Czy wiśnia jest czymś więcej niż wrażeniem miękkości, wilgotności, czerwoności, cierpkości? Berkeley odkrywa coś najbardziej elementarnego w naszym doświadczeniu – mianowicie, że przedmioty uważane za materialne niczym tak naprawdę nie różnią się od wrażeń zmysłowych. Usuńmy wrażenia miękkości, wilgotności, czerwoności, cierpkości, a nic nie pozostanie z wiśni – twierdził filozof. Stąd wniosek, że byt przedmiotów zmysłowych polega jedynie na fakcie, że są postrzegane. A jeśli są postrzegane, to ich istnienie jest niemożliwe bez postrzegającego ich umysłu. Są to więc idee, które istnieją w umyśle. Podstawą filozofii Berkeley'a jest twierdzenie, że nie istnieją jakiegokolwiek rzeczy, które ani nie postrzegają, ani nie są postrzegane. Nie może być ciepła i zimna bez umysłu, który je odczuwa; nie może istnieć żaden obraz, żadna



barwa czy światło bez umysłu, który je widzi; nie znajdzie się żaden dźwięk bez umysłu, który go usłyszy; nie może istnieć żaden kształt ani cokolwiek co posiada rozciągłość przestrzenną bez umysłu, który percypuje za sprawą dotyku oraz wzroku. W związku z powyższym jest naturalne, że nie potrafimy wyobrazić sobie jakichkolwiek przedmiotów, których nie byłoby w umyśle. Jeśli nawet zamkniemy oczy i wyobraźmy sobie samotne drzewo rosnące na wzgórzu i przez nikogo nieoglądane, to przecież my sami je sobie wyobrażamy, ono jest już w nas. Sama natura zaś, to nic innego, jak „widzialne ciągi skutków lub wrażeń zmysłowych wyrytych w naszych umysłach według pewnych stałych i ogólnych praw”. Prawa przyrody to prawa rządzące ideami zawartymi w umysłach, nie zaś prawa rządzące jakąś abstrakcyjną, nieznaną nikomu materią.

Myliłby się jednak ktoś, kto twierdziłby, że Berkeley nie wierzy w rzeczywistość świata, że każde nam traktować przyrodę i nasze własne ciała, jakby ich faktycznie nie było. Świat istnieje rzeczywiście, ale jego natura nie ma charakteru materialnego, lecz psychiczny. Po prostu świat istnieje, ponieważ postrzega go jakiś umysł. W systemie Berkeley'a znalazły się tylko następujące

byty: duchy, Bóg oraz idee. O duchach dowiadujemy się z faktu, iż postrzegane przez nas kombinacje idei wskazują na istnienie odrębnych istot zdolnych do działania, które są do nas podobne. Immaterializm Berkeley'a nie zakłada więc, że inni ludzie są tylko wytworami naszej wyobraźni.

Któs sceptycznie nastawiony do poglądu, że rzeczy zmysłowe istnieją tylko o tyle, o ile są postrzegane, mógłby powiedzieć: no dobrze, rozumiem, że jeśli trzymam w ręku gazetę i czytam ten dziwny artykuł, to znaczy, że ta gazeta istnieje, bo jest obecna w moim umyśle. Ale co, jeśli położę ją na stole, wyjdę z pokoju i nikt już nie będzie patrzeć na gazetę? Czy przestanie ona istnieć?

Jak pisałem na początku, Berkeley zwalczał ateizm. Skłoniło go do tego nie tylko objawienie chrześcijańskie, ale też spekulacje rozumowe. I rzeczywiście, jego system zawiera piękną, a przy tym niezwykłą w całej historii filozofii, obronę idei Boga. Otóż, skoro widzę, że przedmioty zmysłowe nie mogą istnieć inaczej jak w umyśle (jak wspomniana wyżej gazeta); skoro z doświadczenia wnoszę, że przedmioty zmysłowe nie zależą od mojej woli (wiem, że istnienie gazety nie jest zależne ode mnie w tym znaczeniu, że samą wolą nie mogą jej usunąć

i jeśli wyjdę z pokoju i do niego powrócę, gazeta pozostanie na miejscu, w którym ją położyłem); i skoro wiem również, że istnienie idei nie polega na tym, że są postrzegane wyłącznie przeze mnie, muszę założyć, że ich byt polega na obecności w umyśle, ale niekoniecznie tylko w moim umyśle. Musi zatem być jakiś inny umysł, w którym rzeczy znajdują się, który widzi je zawsze, gdy ja ich nie oglądam. Berkeley uważał, że równie pewne jak "istnienie świata rzeczywistego jest to, że istnieje nieskończony wszechobecny Duch, który obejmuje świat i jest jego podporą". Więc nie obawiajcie się, że kiedy zmęczeni kładziecie się spać i zapadacie w sen, świat wokół was przestaje istnieć. Świat ciągle trwa, bo jest stale oglądany przez doskonały umysł Boga. Niesamowity ten dowód na istnienie Boga, daje nam zarazem poczucie jego bliskości. Tę ujmującą wizję rzeczywistości streszcza następujący wiersz:

*Raz pewien człek młody rzekł: Bóg
Za dziwne uznać by mógł,
Że drzewo przed nami,
Istnieje latami,
Choć nikt nie przygląda się mu.*

*Mój panie!
To raczej twój bunt
Za dziwny uznać by mógł,
Bo drzewo przed nami
Stać będzie latami,
Gdyż patrzę nań ja.
Pański Bóg.*

Marcin Stachelski

Co łączyło pisarzy Bolesława Prusa, Władysława Reymonta, prezydenta Warszawy, Sokratesa, Starynkiewicza, malarza Henryka Siemiradzkiego i wybitną uczoną Marię Skłodowską-Curie?

Wszyscy przez pewien czas interesowali się zjawiskami mediumicznymi, a nawet brali udział w seansach spirytystycznych. Wszystkich też zainspirował do tego Julian Ochorowicz (1850-1917) – pozytywista, wynalazca, wielki entuzjasta nauki, psycholog, a także badacz mediumizmu i prekursor polskiej parapsychologii.

Książka „Duchy czy nieznaną siłą?” odkrywa nieznaną wstępną biografii znanych ludzi. Ukazuje historię polskiego spirytyzmu, gorące spory wokół badań mediumicznych, oraz nadzieje i porażki związane z próbami poznania fenomenów parapsychicznych.

Do nabycia w internetowej księgarni spirytystycznej www.rivail.pl

Komunikacja Ducha nazywającego się Lazard, o którą poprosiła osoba z publiczności w Lyonskim Centrum Spirytystycznym we Francji. Duch Lazarda od pewnego momentu opowiada o swoim życiu; pokazuje fotografię, na której widać jego matkę trzymającą na rękach dziecko, a obok niej dwojkę starszych dzieci. Jest ubrana w prostą spódnicę i białą bluzkę. Mówi także, że dzielnica, w której mieszkał, bardzo się zmieniła, teraz odbywają się tam prace, są dźwigi, samochód należący do jego rodziców. Jest zadowolony ze swojego życia, opisuje je powoli i spokojnie, jest bardzo rozmowny. Czasami dotrzymuje towarzyswa swojej żonie. Wygląda na spokojnego, ale czuje się samotny.

MEDIUM - Możesz do nas przemówić, możesz powiedzieć nam, co czujesz. DUCH - Jak mam wam to opisać? Ten podmuch życia, ten podmuch energii docierają do naszych największych głębin, ale nie wiemy skąd przybywa. Przynosi ulgę, delikatność, łagodność, dotyka nas ze wszystkich stron. Jak mam to opisać? MEDIUM - Czy to właśnie odczuwasz w tym miejscu, w którym teraz przebywasz? DUCH - Tak, właśnie to. MEDIUM - Ta energia cię podtrzymuje? DUCH - Tak, jest dobra i delikatna, niczym unoszące fale, które was porywają, które kołyszają, to jest bardzo przyjemne. MEDIUM - Czy jesteś sam? DUCH - Tak, jestem sam, może to jest moim problemem. MEDIUM - Dlaczego nie wykorzystujesz tej energii, by kogoś wezwać? DUCH - Coś dostrzegam, ale nie do końca

rozumiem, co to jest, może jakieś osoby, które znałem i zostawiłem, które przynoszą mi ulgę, spokój, nie rozumiem dlaczego jestem sam. MEDIUM - Czy widzisz wokół siebie jakieś cienie? DUCH - To nie jest dokładnie tak, to są raczej fale. MEDIUM - Dlaczego nie zbliżasz się do nich? DUCH - Nie rozumiem, o co ci chodzi. MEDIUM - Możesz się zbliżyć do tych fal. DUCH - Ale ja już w nich jestem, jakbym dał się porwać, właśnie tak. MEDIUM - Możesz otworzyć oczy i poprosić, by uniosły cię jeszcze wyżej, by pomogły ci jeszcze bardziej się unieść, byś spotkał ludzi, których znałeś i dobre Duchy, które ci pomogą; wzywają cię do siebie. DUCH - Powiedziałeś, że odnajdę moją rodzinę, ale nie odnalazłem jej. MEDIUM - W tym momencie zależy jej tylko na tobie. DUCH - Nie rozumiem, dlaczego do tego nie dochodzi. MEDIUM - Wystarczy, że poprosisz i będziesz ufał, a nie tylko pozwalał się unosić przez fale. DUCH - Przecież one są takie przyjemne. MEDIUM - Tak, ale musisz pokierować swoim losem, swoją wolą, aby kontynuować drogę w zaświatach. W nadchodzących dniach pomyśl o tym, co do ciebie mówię. DUCH - Tak, zastanowię się. MEDIUM - Pozostaw te fale za sobą. DUCH - Jeżeli mogę, spróbuję. MEDIUM - Wykorzystaj te fale, to i my ci pomożemy. Dziękuję ci za przybycie. DUCH - To ja ci dziękuję, to wielka przyjemność być wezwanym, bo wiem, że ktoś mnie wywołał. Wielki ukłon i podziękowania dla osób, które to uczyniły. MEDIUM - Teraz mówię ci do widzenia. DUCH - Do widzenia.

BIBLIOGRAFIA: P. Heuze, „Czy umarli żyją? Ankieta o stanie obecnym nauk metapsychicznych”, Warszawa; Fr. Habdank, Dr. Gustaw Geley, „Zagadnienia Metapsychiczne”, 1924; S. Ossowiecki, „Świat mego ducha i wizje przyszłości”, Warszawa 1990; „Goniec Wielkopolski: najtańsze i najstarsze bezpartyjne pismo dla wszystkich stanów” 1924, nr 164; „Korespondencje. Manifestowanie się rzekomej istności dr. Geley”, „Zagadnienia Metapsychiczne” 1924, nr 3; „Beverini Stefano, Wprowadzenie do telepatii. Praktyczny przewodnik przekazywania myśli na odległość”, Łódź 2003; A. Kardec, „Opętanie”; C. Flammarion „Śmierć i jej tajemnica”; G. Berkeley, „Trzy dialogi między Hylasem i Filonousem”, Warszawa 2009; D. Collinson, „Pięćdziesięciu wielkich filozofów”, Poznań 1997.

MARCIN STACHELSKI



DUCHY
CZY
NIEZNANA SIŁA?

GAZETA SPIRYTYSTYCZNA
Darmowy elektroniczny miesięcznik
POLSKIEGO TOWARZYSTWA
STUDIÓW SPIRYTYSTYCZNYCH

Redaktor naczelny: Marcin Stachelski;
Oprawa graficzna: Izabela Grzechnik

Współpracownicy: Rafał Wiszowaty,
Piotr Struczyk L.F., Konrad Jerzak vel
Dobosz, Nelson Bartsch, Wojciech
Chudziński, Tomasz Grabarczyk,
Krzysztof Strzelecki, Maja Bielecka

Kontakt: struczyklf@gmail.com

Wydawca: Oficyna Wydawnicza RIVAIL
i Agencja Medialna OświęcimOnline

www.spirytyzm.com
www.spirytyzm.pl
www.rivail.pl

Lyońskie Centrum Spirytystyczne



LCS działa od 25 lat i skupia wolontariuszy pragnących nieść duchową pomoc osobom, które utraciły bliskich. W każdą sobotę w siedzibie stowarzyszenia zbierają się media na grupowych seansach, by odbierać komunikaty od Duchów nierzadko wywoły-

wanych na prośbę gości przybyłych na spotkanie. W czerwcowym numerze „Gazety Spirytystycznej” przedstawiamy trzy komunikaty odebrane przez lyońskich spirytystów 5 kwietnia 2014 roku. Cała psychografia została otrzymana w języku francuskim.

Komunikacja Ducha o imieniu Tony na prośbę osoby z publiczności. Duch mężczyzny spaceruje, trochę w pośpiechu i często się odwraca; nosi bluzę. Jest dosyć młody, w dobrej formie, dysponuje dużą ilością energii; ma ciemno brązowe włosy. Posiada jakieś wspomnienia, ktoś go śledzi i próbuje go złapać: to jest jego przyjaciel, ale Tony nie potrafi zrozumieć sytuacji.

DUCH - Moje gardło jest suche, już od dawna się nie odświeżyłem. MEDIUM - Kto cię tak bardzo zajmuje? DUCH - Odnoszę wrażenie, że umrę drugi raz, jeśli pomyślę o Jeanine i o Paulette. MEDIUM - Dlaczego zapamiętałeś akurat te dwie osoby? DUCH - Tylko one mi pozostały. Odnoszę wrażenie, jakbym specjalnie zapomniiał imienia, by znowu w pełni odżyć, czuję się niczym w jakiejś szkole przetrwania; trzeba wszystko zapamiętać, aby troszkę pożyć. Odnoszę wrażenie, że się wypalam, ciągle jestem zmęczony, nie

mam na nic siły. MEDIUM - Czy to te myśli ciągle do ciebie wracają? DUCH - Chyba dobrze myślę, pragnąc odżyć, inne myśli bardziej mnie męczą, nigdy nie byłem tak bardzo wykończony. Ciągle jestem zadyszany. MEDIUM - Pamiętasz swoje życie? DUCH - W głowie mam tylko te dwa imiona, ponieważ wszystkiego innego pozbyłem się, by odżyć. Jakby wszystko się zatrzymało. MEDIUM - Czy wiesz, że umarłeś? DUCH - Nie wiem, nie wiem, o co chodzi. Wiem, że jeszcze troszkę oddycham, to wszystko jest pomieszane, nie mam już dużo siły, czasami jest gorzej, czasami w ogóle nie potrafię mówić. MEDIUM - Będziemy modlić się za ciebie. DUCH - Jestem zbyt samotny, moje ciało jest zbyt chore, to wszystko kosztuje mnie zbyt wiele energii, ta próba odżycia. Nie mogę powiedzieć wam niczego więcej. MEDIUM - Zrozumiałem, będziemy się za ciebie modlić, abyś odnalazł się w tym nowym życiu i zrozumiał drogę, którą masz podążać.

Komunikacja Ducha nazywającego się André, o którą poprosiła osoba z publiczności. André nosi garnitur z brązową marynarką, jest raczej uśmiechnięty.

DUCH - Dzień dobry. MEDIUM - Dzień dobry. Twoja córka chciała dowiedzieć się co u ciebie słychać. DUCH - Wszystko w porządku. U mnie jest dobrze, a cała reszta to już przeszłość, jest dobrze. W końcu odszedłem, jakie ona miała życie, współczuję wam - tym, którzy jeszcze tam pozostajecie, dużo jeszcze przed wami. MEDIUM - Nie masz dobrych wspomnień? DUCH - Tak, ale cóż to są za sprawy! Gdy widzę tę marność czy to u was czy wokół was, naprawdę czuję się dobrze. MEDIUM - Więc nic się nie zmienia między jednym i drugim światem? DUCH - Tak, dla mnie trochę się zmieniło, muszę ci o tym opowiedzieć. Na początku trwało to zbyt długo, przyznam ci się, że nie wszystko pamiętam. Wprowadzili mnie i muszę powiedzieć, że zrobili mi dobre rzeczy, cóż, nie będę się za bardzo rozczulał, ale dobrze się czułem, było w tym tyle ciepła i czułości, naprawdę bardzo mi się to podobało, a potem spotkałem wielu kolegów, którzy mnie tu odwiedzili: Marcel, Jean, to była dla mnie wielka przyjemność, jeden z nich nawet zagrał mi znajomą melodię na trąbce, byłem bardzo szczęśliwy! Rozpuścili mnie. MEDIUM - Lubieś trąbkę z życia? DUCH - Nie szczególnie, ale uważam, że z ich strony to było bardzo miłe, równie miłe jak słowa, które powiedzieli o mnie na moim pogrzebie, z moralnego punktu widzenia to mi się podobało, naprawdę bardzo mnie rozpuszczają. Dobrze mi jest. MEDIUM - Czy masz inne wspomnienia? DUCH - Pamiętam posiłki, rodzinę, mamę, gdy je przygotowywała, sprawia mi to dużo przyjemności, a one też były zadowolone, jestem zadowolony; będę mógł troszkę odpocząć, podyskutować, już od jakiegoś czasu zacząłem dyskusje; opowiadamy sobie różne rzeczy. MEDIUM - Później będziesz musiał odejść. DUCH - Poczekam na moją córkę, to da mi trochę czasu, a przecież musimy się odnaleźć, chciałbym, by to było dla niej piękne doświadczenie. MEDIUM - Czy pragniesz jej coś przekazać? DUCH - Niech dba o siebie i się nie smuci; możesz jej to powtórzyć? Wszystko dobrze się kończy, jestem szczęśliwy, jestem zadowolony. No i są jeszcze takie małe tajemnice, które trwają tylko przez pewien czas, trochę dawalo mi to w kość, a w końcu widzę też innych. Jestem zadowolony. MEDIUM - Przekaż jej tę wiadomość. DUCH - Dziękuję ci za to. MEDIUM - Dziękuję za przybycie i opowiedzenie o sobie. DUCH - Nie ma za co. MEDIUM - Kontynuuj swoją drogę. DUCH - Tak, mam jeszcze dużo do zrobienia. MEDIUM - Teraz mówię ci do widzenia. DUCH - Do widzenia.

Duch stukający z Dibbesdorfu (Dolna Saksonia)

- Fragment „Opętania” Allana Kardeca



Historia ducha stukającego z Dibbesdorfu Hobok swej strony komicznej zawiera także część moralizatorską, co wynika ze starych dokumentów opublikowanych w 1811 roku przez lokalnego kapelana.

W ostatnim miesiącu roku 1761, 2 grudnia o szóstej wieczór jakiś rodzaj jazgotu wydawał się dochodzić z dolnego piętra i docierał aż do pokoju zamieszkiwanego przez Antoine'a Kettelhut. Pani domu, przypisując hałas aktywności służącego, który stara się o względy pokojówki postanowiła z zaskoczenia ochłodzić temperament mężczyzny. Gdy opuściła pokój dziewczynka, w którym akurat się znajdowała zauważyła, że na korytarzu nikogo nie ma. Godzinę później podobne dźwięki rozbrzmiały, ale tym razem pomyślała, że to szczer. Następnego dnia zaczęto sprawdzać ściany, sufit, podłogę, lecz nie natrafiono na choćby najmniejsze ślady zwierzęcia.

Kolejny wieczór i ten sam dźwięk; stwierdzono, że dom może być niebezpieczny dla mieszkańców, a służba odmówiła przebywania w saloniku. Niebawem hałasy ustały, lecz tylko po to, by przenieść się do budynku 30 metrów dalej, zamieszkiwanego przez Luis'a Kettelhut, brata Antoine'a, i pojawić się ze wzmogoną siłą. Stukanie było najlepiej słyszalne w rogu pokoju.

W pewnym momencie sytuacja stała się podejrzana do tego stopnia, iż nawet władze powiatowe – sceptyczne na początku – postanowiły zainteresować się tym, co zaszło. Naciski mieszkańców zmusiły urzędników do przemieszczenia się do Dibbesdorfu 6 stycznia 1762 roku. Rozebranie sufitów i ścian nie przyniosło żadnych pozytywnych rezultatów, a rodzina Kettelhut przysięgła, że nie ma nic wspólnego z zaistnieniem fenomenu. W tamtym okresie nikt nie nawiązywał kontaktu z Duchem stukającym. Pewien osobnik z Naggam uzbrowszy się w odwagę zapytał: „Duchu stukający, czy nadal tu jesteś?” I usłyszano jedno uderzenie. - „Czy możesz wskazać jak się nazywam?” Spośród kilku wymienionych imion Duch wskazał to odpowiednio. - „Ile jest guzików w moim ubraniu?” Rozległo się 36 uderzeń. Policzyliśmy guziki, było ich dokładnie 36.

Od tego dnia historia o Duchu stuka-

jącym rozpowszechniła się po okolicach i każdego wieczoru setki braunschweigczyków udawało się do Dibbesdorfu, zjawili się też Anglicy, i cała rzesza różnych ciekawskich z zagranicy. Tłumy były tak liczne, że lokalna milicja nie potrafiła ich opanować. Mieszkańcy miasteczka musieli wzmocnić nocną straż, a przybyszy wpuszczano do budynku kolejno, jednych po drugich.

Ta rewia mody pobudzała Ducha do nowych nadzwyczajnych manifestacji i posuwał się on do efektów wskazujących na jego inteligentny charakter. Nigdy nie odniosło się wrażenia, aby Duch był zakłopotany z powodu niektórych pytań; zawsze udzielał odpowiedzi, np. gdy goście pragnęli poznać liczbę i kolor koni stojących przed domem.

Jego odpowiedź zawsze była dokładna. Otwarto śpiewnik i wskazano palcem przypadkowy utwór, nieznany nawet pytającemu, a prawie w tym samym momencie rozległ się stukot odpowiadający numerowi pieśni. Duch nie kazał zbyt długo czekać na odpowiedzi, gdyż udzielał ich bezpośrednio po zadaniu pytania. Duch wskazywał także ilość osób przebywających w pokoju, ilość ludzi na zewnątrz, wskazywał kolor włosów, ubrań, pozycję społeczną i zawód konkretnych odwiedzających.

Któregoś dnia pomiędzy ciekawskimi znalazł się pewien mężczyzna z Hettin, całkowicie nieznany w Dibbesdorfie, a w okolicach mieszkający od niedawna. Zapytał Ducha o miejsce swojego urodzenia i w celu wprowadzenia go w błąd wymienił dużą liczbę różnych miejscowości; gdy dotarł do miasta Hettin usłyszano huk. Inny sprytny mieszczanin pragnący oszukać Ducha zapytał ile miedziaków ma w kieszeni; tamten odpowiedział 681 – dokładna suma. Lokalnemu cukiernikowi powiedział ile zrobił ciastek do południa, a kupcowi podał ilość sprzedanych metrów jedwabiu poprzedniego dnia, a jeszcze komuś innemu wskazał dokładną ilość pieniędzy otrzymanych przekazem pocztowym. Duch miał dosyć wesołe usposobienie, wybijał takt melodii zawsze, gdy został o to poproszony, a kilka razy tak głośno, że trzask był ogłuszający. Wieczorem podczas kolacji po modlitwie wybijał na „amen”. Ta oznaka pobożności nie odwiodła pewnego duchownego, odzianego w kostium egzorcysty, od bezskutecznej próby wypędzenia Ducha z kącika.

Duch niczego się nie obawiał, a nawet okazał się bardzo szczery w rozmowie z panującym księciem Karolem i z jego bratem Ferdynandem, jak i w dyskusjach z osobami niżej usytuowanymi w hierarchii społecznej. W tym czasie historia zaczęła nabierać powagi. Władze nakażały pewnemu lekarzowi i doktorowi prawa sprawdzenie autentyczności zjawiska. Uczeni tłumaczyli stukanie obecnością podziemnych źródeł. Wykopano dziurę głębokości około 2 metrów i oczywiście natrafiono na wodę, co jest normalne, skoro Dibbesdorf usytuowany jest w dolinie. Wypływająca z ziemi woda zalała pokój; mimo to Duch nie przestał stukać. Ludzie nauki doszli do wniosku, że są ofiarami żartu i zaszczycili jednego ze służących oskarżeniem, iż udaje Ducha. Według nich, chciał przestraszyć pokojówkę.

Wszystkich mieszkańców miasteczka poproszono, by konkretnego dnia nie opuszczali swoich domów; służącego bacznie obserwowano, gdyż według opinii doktorów był winny zdarzeń; ale Duch ponownie odpowiedział na wszystkie pytania. Służący uwolniony z oskarżeń powrócił do pracy. Mimo to poczucie sprawiedliwości nakażywało odnalezienie winnego, więc zwrócono się przeciwko małżeństwu Kettelhut skarżącemu się na stukanie, choć byli to ludzie niezmiernie poczciwi z nienaganną reputacją, a w dodatku to oni jako pierwsi zwrócili się do władz z prośbą o pomoc przy rozwikłaniu stukającej zagadki. Groźbami i promesami zmuszono pewną młodą osobę do zeznawania przeciwko swoim panom. W konsekwencji właściciele domu zostali uwięzieni, wbrew nawet późniejszym zapewnieniom dziewczyny o niewinności aresztowanych i wskazaniu na wymuszony charakter swoich zeznań, jakich domagali się sędziowie. Duch kontynuował stukanie, lecz mimo to Kettelhutów nie wypuszczono przed upływem trzech miesięcy. Po tym czasie pozwolono im odejść nie uiszczając żadnego odszkodowania, chociaż komisja badająca fenomen w taki oto sposób zredagowała swój wniosek: „Wszelkie możliwe próby zbadania przyczyny hałasu są bezowocne; może przyszłość rzuci światło na tę sprawę?” Ale przyszłość nic już nie wykazała.

Duch stukający manifestował się od grudnia do marca, gdy to zamilkł. Potem powrócono do opinii jakoby autorem zjawiska miał być służący, ale w takim razie, w jaki sposób uniknął pułapek na niego zastawionych przez śledczych, łącznie z przesłuchującymi go sędziami?

Uwaga. Powyższe zdarzenia miały miejsce jakiś czas temu, ale jeśli porównamy je ze współczesnymi zjawiskami przyznamy, że są identyczne. Tak samo przebiegają dzisiejsze stukające manifestacje, jeśli chodzi o system zadawania pytań i uzyskiwania odpowiedzi. Ani Ameryka ani nasza epoka nie odkryły Duchów stukających, ani żadnych innych, jak wykazujemy na licznych przykładach z życia wziętych. Mimo to istnieje pewna różnica pomiędzy dawnymi manifestacjami, a współczesnymi; mianowicie, kiedyś następowały spontanicznie, dzisiaj mamy z nimi do czynienia przede wszystkim w wyniku wywołania za pośrednictwem specjalnych mediów do zjawisk fizycznych. Tym sposobem mogliśmy lepiej im się przyjrzeć i poznać powód ujawniania się istot niewidzialnych. Na tak postawioną tezę: „Może przyszłość rzuci światło na tę sprawę?”, współczesny autor nie odpowiedziałby, że przyszłość niczego nas nie nauczyła. Gdyby autor tych słów żył, zdawałby sobie sprawę z tego, że teraz wiemy bardzo dużo, a sędziowie bardziej światli, niż sto lat temu, nie komentowałyby fenomenów spirytystycznych formułkami godnymi średniowiecznej inkwizycji. Nasi badacze są na tyle zagłębieni w tajniki zdarzeń nadprzyrodzonych, iż potrafią oddzielić sprawy niewytłumaczalne od innych. Nie narażają się na niepotrzebne dementowanie błędnych wyroków przez następne pokolenia naukowców udzielających jasne odpowiedzi na enigmatyczne zagadki, gdyż rozchodzą się o ich reputację. Widząc coś na horyzoncie nie wykrzykną w pośpiechu: „To nic nie jest”, ze strachu, by nie okazało się, że dostrzegli wielki okręt; jeśli go nie rozpoznają będą milczeć i czekać: to jest prawdziwa mądrość.